

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

1)

I.

Markiz de Rochebrise umierał.

Z początkiem zimy 19.. stan jego zdrowia pogorszył się tak poważnie, iż lekarz jego domowy pan Tournel stracił już wszelką nadzieję. Przywołany z Paryża profesor potwierdził tylko zdanie kolegi.

Markiz miał lat pięćdziesiąt kilka, lecz wyglądał o wiele starsze. W głęboko osadzonych jego oczach widział bezustanny błysk tajemniczej jakiejś, ukrytej trwogi, a ruchy rąk wychudzonych zdradzały żywy niepokój i podniecenie.

Ostre zapalenie nerwów ogarnęło już całe ciało, sprowadzając częściowe sparaliżowanie członków poszczególnych, wywołując u chorego gwałtowne ataki bólu i chwilowy zanik przytomności.

Wieczoru tego ataki te powtarzały się coraz liczniejsze i silniejsze.

W chwilach, kiedy ból łagodniał cokolwiek, z ust markiza wybiegały urwane, z trudem wymawiane słowa.

— Cdzie jest księżna?... Czy nie przybyła jeszcze? Dlaczego niema jej dotąd przy mnie... Ah! Boże! jak ja cierpię... Noc nadchodzi... noc nadchodzi i znowu te widma przekłete zaczęły krążyć koło mnie... Czy jest tu kto? Ratunku! ratunku! Czy już nikt nie zlituje się nademną!

Na to rozpaczliwe wołanie z głębi pokoju, tonącego już w zmroku, wyłoniła się przgarbiona postać starego służącego.

— Jestem tu panie markizie, jestem. Nie odchodzę ani na chwilę.

— Ah! to ty, Benoit?

— Tak, panie markizie.

— Która godzina?

— Dochodzi piąta.

— Czy przyniesiono pocztę z Langeac?

— Tak, panie markizie.

— Listy? gdzie listy?

— Listonosz pozostawił tylko dzienniki.

— Kłamiesz, oszukujesz mnie? Gdzie listy!

— Jak pan markiz może przypuszczać coś podobnego — wymówił z wyrzutem stary sługa.

— Nie! nie, Benoit... wiem, że jesteś mi wiernym i oddanym... że uczyniłbyś wszystko, aby mi przywrócić zdrowie i życie... a nieobecność jej i milczenie, to przyspieszenie mojej śmierci... Oh! żyć! żyć! Boże! Czyż mam umrzeć, nie ujrawszy jej... Oh! ten lęk! ten lęk straszny!

Markiz uniósł się nagle na łóżku i przerażeniem oczami wodząc po pokoju, rozpaczliwie krzycząc zaczął ochryplym, nienaturalnym głosem:

— Światła! światła! Wypędź te ciemności, Benoit. Zapal wszystkie lampy i świece. Prędko! Boję się! Oh! jak się boję śmierci!

Stary sługa pospieszył wypełnić życzenie chorego i wkrótce obszerny pokój, o ciemnych, sukiennych obiciach, zajaśniał potokami światła.

Światło łagodząco podziało na markiza. Głowa jego opadła na poduszki, przymknął spieczone gorączką powieki i wyszeptał cicho:

— Julia! córka moja!

W tej chwili drzwi pokoju otworzyły się ostrożnie. Wszedł doktor Tournel i powolnym krokiem zbliżył się do łóżka chorego.

— Kto tu jest? — wzdrygnął się markiz.

— To ja, doktor. Spokojnie, spokojnie, panie markizie. Proszę się nie poruszać! Gdyby pan wiedział, jak każdy ruch panu szkodzi... No jakże? Nie czuje się pan lepiej dzisiaj?

— Nie... nie... to już koniec... czuję to... umieram — wyszeptał markiz, z trudem chwytając powietrze.

— Co znowu! Od trzech miesięcy słyszę to codziennie od pana!

— Umieram! — powtórzył markiz głosem pełnym przerażenia i lęku.

Doktor ujął jego rękę, szukając pulsu i drgnął nagle.

— Benoit... prędko! lodu! Trzeba natychmiast robić okłady na głowę — rozkazał zaniepokojony.

Przeciągły dreszcz wstrząsał ciałem markiza. — Nie potrzebaj! Już nie potrzeba — jęknął głucho — zrozumiałem... to śmierć! to śmierć!

Doktor Tournel milczał, wpatrując się uważnie w zmienioną twarz chorego.

— Ile czasu pozostaje mi jeszcze do życia? — zapytał markiz nagle.

Głos jego w tej chwili był stanowczy i pewny...

Doktor zawahał się.

— Chcę wiedzieć... mam prawo.

— Jeszcze dni kilka — odrzekł w końcu pan Tournel, uważając, że obowiązkiem jego jest choć cieni prawdy powiedzieć — o ile pan będzie spokojny i nie będzie się podniecał złymi myślami.

— A w przeciwnym razie? Czy pozostaje mi jeszcze chociaż kilka godzin? — badał dalej gorączkowo markiz.

— Zapewnie.

— A więc, mój doktorze, proszę mi przygotować płyn jakiś wzmacniający, potrzebuję siły i energii — rozkazywał chory, który zdawał się nabierać odwagi w chwili zbliżającej się śmierci.

— Dobrze — odparł doktor z prostotą, rozumiejąc doskonale stan duchowy markiza. — Nie mogę już panu niczego odmówić.

Mówiąc to, spiesznie wyszedł z pokoju, aby przygotować żądany napój.

— Benoit! Benoit! — zawołał chory.

— Jestem tu panie markizie — odparł służący, nadbiegając śpiesznie.

— Każ natychmiast wysłać powóz do Monestier — po księdza... słyszysz! Niech go tu sprowadzą koniecznie, rozumiesz, Benoit... koniecznie.

— Rozumiem, panie markizie.

— Prędko... prędko... idź, Benoit... pospiesz się...

Stary sługa wybiegł zdumiony. Dziwne rzeczy działy się w zamku Rochebrise! Nie widziano tu księdza od lat dwudziestu blisko! Czyżby naprawdę markiz chciał się pogodzić z Bogiem przed śmiercią?

Wyrzuty sumienia.

Markiz de Rochebrise pozostał sam w pokoju i z westchnieniem ulgi opuścił głowę na poduszki, zda się uspokojony trochę swoim postanowieniem.

Markiz Edmund-Franciszek de Rochebrise był ostatnim męskim potomkiem starej rodziny arystokratycznej de Rochebrise.

Prawem pierworodztwa, po śmierci ojca objął tytuł markiza i prawie cały pozostały po nim majątek. Młodszy brat jego, mniej prawem uposażony, jeszcze w młodych latach postanowił wyjechać z kraju i w obcych krajach szukać szczęścia. Osiadł w Indjach, gdzie wiódł życie dosyć awanturnicze, ożenił się w lat parę z córką księcia indyjskiego — następnie zginął w potyczce z Anglikami, pozostawiając dwoje dzieci: Jerzego i Emmę.

Co się stało po jego śmierci z żoną jego i dziećmi, o tem się nikt nigdy nie dowiedział. Słuch o nim zaginął zupełnie.

Markiz de Rochebrise zaś osiadł w zamku swoich przodków i ożeniwszy się z hrabianką Ewą de Tremel-Saint-Cat, poświęcił całe życie kaprysom i wymaganiom kobiety pięknej i dumnej, dla której żąda błyskania i władzy była jedynym celem życia.

Markiza, wkrótce po ślubie, zawezwała do zamku krewnego swojego, Alberta de Lognes i powierzyła mu administrację całego majątku. Odtąd służba słuchać musiała tylko jego rozkazów i do niego odnosić się ze wszystkim. Markiz de Rochebrise znosił w milczeniu upokarzające stanowisko, narzucone mu przez żonę, lecz w duszy jego z dniem każdym wzrastała niechęć i nienawiść do pana de Lognes.

Lekceważony i zaniebawany przez markizę, pan de Rochebrise przeżył całe swoje przywiązanie i potrzebę miłości na jedyną córkę swoją Julię. Dla wywołania uśmiechu na jej usta gotów był popełnić bez zastrzeżenia najohydniejszą zbrodnię. Ta miłość ojcowska z biegiem lat przeobraziła się w nienaturalne, chorobliwe uwielbienie.

Markiz był człowiekiem bogatym.

Ale rozrzutność i namiętność zbytków markizy, popierana przez administratora zamku, pana de Lognes, nadwęgryła dosyć szybko miliony, nagromadzone przez ojca pana de Rochebrise.

Na kilka już lat przed zamążpójściem Julii położenie okazało się zachwiane. Dla ratowania honoru nazwiska musiano sprzedać większą część lasu i zaciągnąć większy dług hipoteczny. Zdawało się więc, że w tych warunkach projekt małżeństwa pomiędzy Julią de Rochebrise a świetnym hrabią de Valbreuse musi uleść zmianie, tembardziej, że hrabia żądał, aby posag narze-

zionej, mający wynosić dwa i pół miliona, wypłacony został gotówką w dniu zawarcia kontraktu ślubnego.

Ale nagle przykre położenie uległo zmianie, ślub się odbył i blask rodziny Rochebrise zajaśniał w całej pełni. Mieszkańcy okolicy zauważyli tylko, że od tego dnia stary markiz zapadł na ciężką jakąś melancholię, która niebezpiecznie podkopywać zaczęła jego zdrowie.

Stał się męczący, ponury, unikał każdego towarzystwa, nawet towarzystwa żony, a widoku pana de Lognes szczególnie nie mógł znosić.

Wkrótce zamek de Rochebrise opustoszał, towarzyskie w nim życie zamarło zupełnie. Markiz z uporem maniaka nie wychodził prawie ze swojego pokoju; niekiedy wyjeżdżał sam na dalsze polowania, które były zawsze jedną z najmilszych jego rozrywek. Jedyne tylko Julia miała wstęp wolny do ojca. Wymagał nawet, aby przyjeżdżała go odwiedzać co czas jakiś. Jeżeli zaś już kilka tygodni upływało od ostatniej jej bytności, stawał się niespokojny i niecierpliwy, wysyłał do niej nagłe listy i telegramy — czasem nawet nie mogąc zważyć nurlującego go niepokoju, pierwszym lepszym pociegiem jechał do Paryża. A kiedy stawał przed nią niespodzianie, pierwszym jego pytaniem było:

— Julio, powiedz mi, moje dziecko, czy czujesz się szczęśliwą?

— Ależ tak, ojcze, tak — odpowiadała niechętnie, znudzona tem upornym zainteresowaniem się ojca.

— Mówisz szczerze?... całkiem szczerze?...

— Tak, ojcze...

— Ah! to dobrze! to dobrze... bo gdybyś ty, Julio, miała nie być zupełnie szczęśliwą... to byłoby z pewnością straszne...

Markiz wtedy pozostawał dwa dni w domu zięcia i córki, poczem powracał, aby z powrotem zamknąć się w swoim pokoju, nie chcąc widzieć nikogo.

W czas jakiś po ślubie córki markiz przystąpił nagle i nie uprzedzając nikogo, do gwałtownego przebudowania zamku.

Kazał zwalić niektóre wieże i krużganki, pozostawiając tylko nietknięte obszerne galerie i sale parteru, piętro zaś pierwsze i drugie przebudował zupełnie, stosując się do mody nowoczesnej.

W jednej z tych sal dolnych, które zachowały swój surowy charakter, leżał właśnie teraz markiz, złożony paromiesięczną chorobą, oczekując z utęsknieniem przybycia córki, wzywanej codziennymi listami i depeszami.

Julia nie zjawiała się jednak, a cieni śmierci uparty już niezwalczony krążył nad czarnym, hebanowym łóżem, na którym spoczywał ostatni męski potomek starego rodu Rochebrise.

Drzwi syplalni otworzyły się ostrożnie. Wszedł doktor Tournel, trzymając w ręce flakonik, zawierający usmierzający napój, żądany przez markiza. Za nim szedł Benoit, niosąc wiaderko pełne drobnych kawałków lodu. Doktor Tournel chciał przyłożyć kompres z lodu do rozpalonego czoła chorego, ale markiz odsunął go ruchem ręki.

— Nie! zostawcie mnie w spokoju. Dajcie mi tylko kropli wzmacniających. — Dziękuję — szepnął po chwili, kiedy doktor wlał mu łyżeczkę płynu w usta... — Dziękuję doktorze!... żegnaj — dodał, usiłując ująć rękę pana Tournel.

— Co znowu, panie markizie? — zaprzeczył doktor. — Do widzenia, do jutra rana... A może życzy pan sobie, abym przepędził noc całą tutaj?

— Nie! nie — żegnaj panie doktorze — powtórzył smutnie markiz.

I nieruchomy, bledy, przymknął zsiniałe powieki. Doktor Tournel patrzył na niego długą chwilę, poczem wyszeptał do siebie:

— Zdaje się, że zrozumiał. Przyjął swój los lepiej, niż przypuszczałem. — Benoit — zwrócił się do starego służącego — w razie silniejszego osłabienia proszę dać markizowi łyżeczkę tych kropli, ale nie więcej — rozumiecie?

— Dobrze, panie doktorze... ale niech mi pan powie z łaski swojej — wymówił cicho, zbliżając się ostrożnie do doktora — czy naprawdę grozi panu markizowi niebezpieczeństwo...

— Jutro będzie po wszystkim — odpowiedział pan Tournel.

— Ah! biedny pan markiz... Taki bogaty, taki znakomity pan... i on także odejść musi tam, gdzie wszyscy... co za los.

Zgnębiony tą wiadomością, Benoit po odejściu doktora pograżył się w wielkim fotelu i zapatrzył się w ogień.

(Ciąg dalszy nastąpi)